Nr 2. We Lwowie, 1 lutego 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Szkodliwa działalność „Spółek Łowieckich"

Czytając od szeregu lat „Łowca", spotykam się z całym szeregiem przeróżnych, bardzo ciekawych i miłych artykułów, których autorami są ludzie cieszący się mianem wielkich i prawdziwych myśliwych, to też czuję się obecnie jak żaba, która nogę podnosi, gdy konia kują. Chcę bowiem zabrać głos w sprawie ustawy łowieckiej, która jakkolwiek wszystkich myśliwych jednakowo obowiązuje, nie wszystkich przecie w tym samym stopniu dotyka. Twierdzę stanowczo, że obowiązująca obecnie ustawa najbardziej skrzywdziła tę całą rzeszę drobnych, ale niezłych myśliwych, którzy przecie w chorągwi Św. Huberta dobrze swą służbę pełnili.

Ci, którzy do tej pory na łamach „Łowca" głos w sprawie ustawy łowieckiej zabierali, to przeważnie gwardja naszej społeczności myśliwskiej, to ludzie wybrani, którym los zezwolił do tej pory na własnym terenie w dawnych polować warunkach, to też uwagi ich o ustawie łowieckiej wyrażone są bardziej teoretycznie i nie przedstawiają rzeczy w całej jej rzeczywistej grozie. Mieszkając na kresach Rzeczypospolitej, na głuchej prowincji, znam te rzeczy zbliska i dokładnie i spodziewam się, że znajdę wielu ludzi, którzy potwierdzą prawdziwość moich spostrzeżeń. Nie będę cytował artykułów ustawy łowieckiej, bo dokładnie brzmienia ich nie znam, opiszę jedynie, jak w praktyce wygląda u nas ta ustawa.

Właścicielem prawa polowania na terenie gminy jest t. zw. Spółka łowiecka, w której imieniu rządy sprawuje Wydział z trzech członków złożony. Zaledwo 2—3% ogółu ludności wiejskiej ma pewną skłonność, zresztą o bardzo różnem nasileniu, nie tyle do polowania, ile do chwytania i niszczenia zwierzyny, który to odsetek decyduje przeważnie o wyborze Wydziału Spółki, dokonując — dzięki zupełnej obojetności na te sprawy większości właścicieli gruntów z jednej strony, a dobrze pojętego wspolnego interesu z drugiej strony — odpowiedniego wyboru. Nic przeto w tem niema dziwnego, że Wydział spółki łowieckiej tworzą ludzie, którzy jak się to często okazuje, sami są cichymi spólnikami dzierżawców polowania, a którzy chętniej wydzierżawią teren za pół ceny z wolnej ręki własnym swoim kamratom kłusownikom, niż ubiegającym się o to myśliwym. Polują potem na tym terenie wszyscy, więc i dzierżawca i jego wspólnik, rodzina bliższa obu i ich znajomi, czasem jakiś biedny myśliwiec z pobliskiego miasteczka — polują! strzelając zające na deptanego i na podjezdkę, strzelają kozły w lecie, sarny w zimie i polują, dopóki coś żywego kręci się jeszcze w okolicy ich terenu.

Policja jest często zupełnie bezsilną, mimo, iż na 20 polujących, jeden ma tylko kartę myśliwską. Faktem jest przecie, że nie policjant kłusownika, a kłusownik poli-

cjanta pilnuje. Zdarza się czasem, osobiście zresztą rzeczy tej doświadczyłem, iż po dwu latach takiej gospodarki, Wydział zdoła przekonać swych dzierżawców, by zrezygnowali z prawa polowania i wynajmuje na przeciąg jednego lub dwu lat to prawo komuś takiemu, o którym sądzi, iż ten zaszanuje mu przez ten czas nieco zwierzyny, by następnie znów oddać polowanie w poprzednie ręce. W moim jednak wypadku Starostwo zatwierdziło umowę dzierżawną na pełnych sześć lat, idąc po myśli ustawy, tak, że dobrze na tem wyszedłem. Gorzej jest natomiast gdy zamiast Wydziału, sam dzierżawca poddzierżawia któremuś z myśliwych własny rewir, gdyż o utrzymaniu go nadal, po upływie tego czasu, a raczej nabycie go od Wydziału spółki dla siebie, okazuje się zgoła niemożliwem. Jeśli zaś nawet któremu z myśliwych uda się przypadkiem w drodze wielkiej protekcji teren jaki na przeciąg lat sześciu wprost od Wydziału nająć, otoczony ze wszech stron złymi sąsiadami sam wkońcu musi zrezygnować z polowania.. Tak więc cała sprawa łowiecka została u nas oddana całkowicie w ręce najmniej do tego powołane a w 90% w ręce kłusowników.

Coś niecoś w tej sprawie może zrobić jedynie starosta wstrzymując niepowołanym myśliwym wydanie karty myśliwskiej. Stanowisko jednak starosty jest w sprawie tej nader przykre, gdyż po pierwsze Wydział Spółki łowieckiej, a raczej cała klika kłusowników, która od Wydziału polowania kupuje, wstawia jako dzierżawcę w kontrakcie człowieka, który najczęściej niewiele zna się na „myślistwie", za czyn niezgodny z ustawą karany dotychczas nie był i wytrącając staroście z ręki powód do odmówienia wydania karty myśliwskiej, niszczy pod jego płaszczykiem cały zwierzostan. Po drugie zaś, odmówienie całemu szeregowi ludzi wydania kart łowieckich, wytwarza często wśród laików tego rodzaju mniemanie — zwłaszcza o ile starosta sam jest myśliwym — iż te zarządzenia są wpływem osobistego interesu starosty, który przecie jako reprezentant władzy, winien być w takiej sprawie bezstronny. Zaradzić temu możnaby jedynie przez przywrócenie pełnomocnictw delegatom M. T. Ł., którzy bezwzględnie powinni mieć decydujący wpływ na zatwierdzenie kontraktów dzierżawy polowań, a conajmniej głos doradczy w sprawie udzielania kart myśliwskich przez Starostwa.

Nikt szczerzej i goręcej, jak prawdziwy myśliwy — a za takich właśnie członków M. T. Ł. uważam, — nie zajmie się uregulowaniem spraw łowieckich na powierzonym mu terenie, słuszną zatem byłoby rzeczą, by sprawy te jako pewnej trwałej polityki wymagające, im właśnie odstąpić. Uważając, że nie będzie to żadną ujmą dla P. T. Starostów niemyśliwych, gdy sprawa ta, jako mało ich interesująca, wypadnie częściowo z ich kompetencji, zaś Pp. Starostowie myśliwi we wspólnym łowieckim interesie zgodzą się na to z pewnością.

Pisałem „od ręki", może więc i nonsens wkradł się jaki, może błąd (nawet i ortograficzny) się znajdzie, może słowo zbyt mocne, ale chciałbym szczerze, by u nas, tak jak choćby w Czechach, czynsz dzierżawny stanowił ważną pozycję w budżecie gminy, a właściciel miał z prawa polowania i korzyść i przyjemność. „Bafjo".



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Noc i poranek

Duża, pięknie zaokrąglona tarcza księżyca, wysunąwszy się z za szpaleru starych lip ogrodowych, jęła wolno wznosić się ku górze, zalewając ziemię powodzią bladego, migotliwego blasku. Całun śnieżny, wyścielający łąki i pola, ciążący na drzewach i drobnych krzewinach, lśnił w tem martwem świetle miljardami brylantowych ogni. Silny mróz zasnuwał oświetlone okna domu witrażem srebrnych gałęzi i gwiazdek, załamujących w sobie błyski księżycowej poświaty.

Siedziałem przy stole, racząc się wonną herbatą i rozprawiając z przemiłą panią domu na temat tegorocznych zabaw karnawałowych w mieście, kiedy nagle z przed ganku doleciało donośne parskanie koni. Przełknąwszy ostatnie hausty aromatycznego napoju, pośpiesznie powstaliśmy od stołu. Zbliżyłem się do okna, za którem srebrzył się oświetlony termometr. Spojrzałem. Nie ufając sobie, oparłem czoło o zimną szybę, licząc starannie kreski poniżej zera. Nie myliłem się: było ich dziewiętnaście.

Pożegnawszy gościnnych gospodarzy, włożyłem sympatyczną wilczurę i zabrawszy strzelbę — wyszedłem na ganek, przed którym oczekiwały już obszerne sanie, zaprzęgnięte w parę rosłych kasztanów. Ulokowawszy się wygodnie na siedzeniu, postawiłem wysoki kołnierz i kryjąc ręce w rękawach, poleciłem woźnicy ruszać. — Skrzypnęły jękliwie płozy na twardym, wyślizganym śniegu, kierując się w stronę ciemniejącego w dali lasu, wyróżniającego się zębatą linją na tle nieba. Kiedyśmy wyjechali w pole — ogarnęło nas mroźne tchnienie zimowej nocy. Srebrzysty krąg księżyca świecił tak jasno, że widno było jak we dnie. Twardy, zeszroniały śnieg chrzęścił miarowo pod nogami koni, otoczonych kłębami pary, osiadającej na ich grzbietach i bokach w postaci igiełek szronu, pokrywającego także nasze wąsy, brwi i kołnierze. Piękna sadź tkwiła na konarach mijanych drzew i krzewów, przypominających teraz do złudzenia gałązki białych korali. Mróz szczypał dotkliwie w nos i policzki, kłuł w palce u nóg, wyciskał z oczu łzy...

Woźnica porzucił utarty szlak i chcąc skrócić drogę,

ANTONI SYKORA

Polowanie z nagonką na lisy

Ogólnie spotykałem się ze zdaniem myśliwych, że lisy w styczniu, na białej stopie, przy mroźnej bezwietrznej pogodzie i zamarzniętej skorupie śniegowej, trudno na polowaniu z nagonką wyprowadzić na linję myśliwych, zwłaszcza w niedużych miotach, w przeciwieństwie do polowań jesiennych na czarnej stopie, kiedy lis idzie jakby głuchy.

O ile lisy są w danym lesie, to winę ujemnego wyniku należy szukać w zachowaniu się nagonki, tak przy zastępowaniu miotu, jak przy pędzeniu i często u samych myśliwych. Cośkolwiek głośna nagonka wypłasza lisa nietylko z miotu pędzonego, ale też z sąsiednich, a choćby jeden z myśliwych, cośkolwiek niespokojny, psuje lisa na całej linji. Bierze się miot za miotem, nazywa się, że lisów w lesie jest dużo, a żadnego nie można dostać, albo tu i tam przy wielkich miotach jakiś, zwłaszcza młody, wyjdzie na myśliwego.

Pragnę podzielić się z towarzyszami z pod znaku Św. Huberta sprawozdaniem o wyniku i sposobie prowadzenia polowania wyłącznie na lisy w dniu 26 stycznia z. r., w lesie Urlów — Presowce w powiecie zborowskim, a może tych kilka uwag niejednego zachęci do zastosowania go. Warto nieco trudu poświęcić dla uzyskania tej okrasy naszych polowań, jaką stanowią lisy.

Z obszaru lasu 500 morgowego, wziąłem 9 miotów. — Środek i kilka miotów bocznych zostało nieruszonych. Dzień był pogodny, mroźny, zupełnie bezwietrzny, śnieg zlodowaciały zwierzchu, trzeszczał pod nogami, a więc zdawałoby się, że ta ostatnia okoliczność dla polowania na lisy zupełnie niesprzyjająca. Korzystną była uprzednia noc księżycowa i możność zatkania jam, przy wszelkiem prawdopodobieństwie nieobecności gospodarzy. — Polowanie było dorywczo złożone z niepewnością, czy przy tak złym śniegu, uda się wogóle jakiegoś lisa dostać. 4 myśliwych, 12 ludzi nagonki i 10 przeznaczonych na flanki, stanowiło całą ofenzywę myśliwych i flankujących, gdzie tylko było możliwe, podwoziło się saňmi. Nagonce tak przy zastępywaniu miotów, jak przy pędzeniu i po skończonym miocie, nie wolno było nawet rozmawiać. Szła cicho bez gwizdań, klaskań i uderzeń patykami po drzewach czy krzewach. 5 ludzi na flance z jednej strony i 5 ludzi na flance z drugiej strony zajmywało w równych odstępach całe flanki i miało za zadanie jedynie chodzenie kilkadziesiąt kroków w jedną i drugą stronę swego stanowiska tam i z powrotem, również bez głosu. Myśliwi, flankowi i naganiacze zajmowali stanowiska równocześnie z tem, że flankowi z chwilą ustawienia ich, rozpoczynali swój chód.

Widzianych było 15 lisów i tumak, z tego 8 lisów stanowiło rozkład, 2 lisy strzelane i 5 zdrowych uszło. — Przy dwóch myśliwych więcej i skutkiem tego bardziej skupionych stanowiskach, rezultat byłby jeszcze lepszy.

Koniecznym warunkiem dodatniego wyniku, jest zupełnie bezgłośne zachowanie się tak nagonki jak myśliwych. Nawet głośniejsza rozmowa przed miotem, czy po miocie winna być wykluczoną. Nic tak nie płoszy zwierzynę, jak głos ludzki, nawet na strzały tak dalece nie reaguje.

Myśliwy z chwilą zajęcia stanowiska, winien stanąć jak mur, unikać wszelkich poruszeń, jak łamania gałęzi, przestępywania, ucierania nosa i t. p. czynności, bacząc, że nietylko sobie, ale też sąsiadom psuje spotkanie. Miot leśny jest zakryty przed okiem myśliwego drzewami i krzewami, które ukrywają tajemnicę wnętrza. Często niedaleko stanowiska z chwilą zajęcia go, znajduje się czujna zwierzyna. Przy przestrzeganiu tej reguły, danem mi było w tym sezonie ubić 11 lisów, z 38 ubitych na polowaniach, w których brałem udział. Na wyżej opisanem po-

---

ruszył naprzełaj. Z łoskotem załamującej się pod ciężarem koni skorupy śnieżnej, przejechaliśmy przydrożny rów, pędząc polem w stronę jeziora, za którego lustrzaną szybą, wtulona w gąszcz brzozowych zagajników, znajdowała się gajówka Nowosady, będąca celem naszej podróży. Po półgodzinnej przeszło jeździe, dotarliśmy do jeziora połyskującego taflą przezroczystego lodu, z którego wiatr zmiótł dokładnie cały śnieg. Z opuszczonemi nisko łbami, węsząc i chrapiąc, ostrożnie wchodziły konie na śliską powierzchnię, pękającą gdzieś w oddali z hukiem armatniej salwy. Wolno, potykając się i ślizgając, szły kasztany, strzygąc uszami, a woźnica upominał je cichemi wykrzyknikami.

Nagle gdzieś od strony opuszczonych niedawno pól, popłynęło niskie, basowe, pełne jakiejś bolesnej skargi, wycie wilka. Wnet zawtórowało mu drugie, o tonie znacznie wyższym, potem trzecie. Wspaniałe trio rozlegało się nad uśpioną okolicą. Górował w niem wysoki i bardziej melodyjny głos wadery. Otulony w ciepłe futro, siedząc wygodnie w saniach, wsłuchiwałem się w te groźne i ponure dźwięki, brzmiące tak nastrojowo w księżycowej poświacie zimowej nocy.

Ze szklistej powierzchni jeziora wjechaliśmy w młody zagajnik. Przed nami corazto wyrastały oszronione krzewy i ocierając się o sanie, zasypywały nas śniegiem. — Zmęczone konie pokryły się obłokami pary, z trudnością wyciągając sanie z głębokich zasp. Lecz droga taka nie trwała zbyt długo, wkrótce bowiem wydostaliśmy się na ubitą dróżkę, która doprowadziła aż do wrót gajówki. Rzuciłem za siebie ostatnie spojrzenie.

Zagajnik wyglądał jak kraina z bajki, jak fantastyczny świat zaczarowany. Młode drzewka, okryte kiściami delikatnego, białego puchu, tworzyły na tle ciemnego nieba dziwaczny rysunek, ale nadzwyczaj subtelny, przekreślony gdzieniegdzie czarnem pasmem obnażonej gałęzi, lub szmaragdowym wachlarzem łapek świerkowych, oblanych mdłem światłem księżyca, a od spodu przysłoniętych welonem szafirowego mroku, wypełzającego na nieskazitelną biel śnieżnego podłoża, pasami niebieskich cieni. — A wysoko, na wygwiaździonem sklepieniu nieba, jak olbrzymi reflektor, jarzył się srebrny krążek grymaśnie wykrzywionego księżyca.

Skoro tylko rozpędzone sanie zatrzymały się przed maleńkiem zabudowaniem gajówki — skrzypnęły drzwi

lowaniu, Diana nie była łaskawą dla mnie. Podprowadziła mi tylko jednego lisa i tak niefortunnie, że zapóźno zoczony, strzelany uszedł. Rezultatem podzieliło się trzech myśliwych, z których jeden, miał pięć na rozkładzie, z tego trzy w jednym miocie.

Drugim warunkiem jest umiejętne zastąpienie całego miotu w krąg przez myśliwych, nagankę i flankujących, przyczem ci ostatni, doskonale zastępują fladry, tem dogodniej, że mogą być szybko użyci do każdego miotu.

Z zastosowaniem tego rodzaju ruchomej flanki i przy cichem pędzeniu nagonki, udawało mi się (w innej okolicy) prawie zawsze dostać również dziki na linję myśliwych.

Każde polowanie, w ten sposób prowadzone również na inną zwierzynę, daje dobre wyniki. Należy tylko, zależnie od kaprysów aury, regulować ilością naganiaczy i flankujących. Wykazuje ono jeszcze to bene, że zwierzynę znacznie mniej niepokoi się w całym lesie. Nietylko lisy wychodzą spokojnie na linję myśliwych i mimo strzałów nie są płoszone w bezpośrednio sąsiadujących miotach, także sarny i zające przechodzą przez linję myśliwych bez tego gwałtownego strachu, jaki się daje zauważyć przy głośnych nagonkach. Obserwując zwierzynę w miocie, widzi się, jak ona co chwila przystaje i nadsłuchuje, a słysząc szmery spowodowane chodem nagonki i flanki, wybiera kierunek na myśliwych.



W. G. S.

„Rysia" cud Zamościa

„Bojownikowi o Szkołę Polską, Obrońcy Ojczyzny, Twórcy pierwszego Szkolnego Ogrodu Przyrodniczego w Polsce, Panu Profesorowi Stefanowi Millerowi, z okazji Jego piętnastoletniej pracy naukowo-pedagogicznej, pracę niniejszą poświęca

Młodzież zamojska.

(Dedykacja do broszurki XV-lecie „Zoo" w Zamościu).

Jedyny wypadek oswojenia rysia (przynajmniej odnośnie do moich wiadomości przyrodniczych), znalazłem onegdaj, zwiedzając „Z o o" w Zamościu, gdzie bywam prawie co roku.

O oswojeniu i opiece nad zwierzętami pisałem już nieraz na łamach naszego „Łowca", i ponownie muszę oddać hołd Zarządowi zwierzyńca, młodzieży szkolnej i obywatelstwu miasta, którzy owiani miłością przyrody, kulturą i umiejętnem zrozumieniem celu tak zasłużonego ogrodu „Z o o" — w 100% dorośli do tego zadania.

„Rysię", dziś 7-o miesięczną kotkę wybrano po zabiciu matki z dwojgiem rodzeństwa na Polesiu z gniazda, jako jeszcze ślepe kociaki. — Rysię przyjęła i wyhodowała poczciwa kotka na leśnictwie, a ona, otoczona pieczołowitą opieką, wyrosła na przyjaciółkę domową, bawiącą się z psami, szukającą pieszczot i styczności z ludźmi. — Karmiona mlekiem i mięsem, w 7-ym miesiącu życia doszła do pólnormalnych rozmiarów wyrośniętego zwierza z faworytami, jak ongiś „un domestique de bonne maison".

Zwiedzając zwierzyniec — nie wiedząc nic o nowym nabytku, trafiam do umiejętnie zbudowanej klatki „Ryś-

i ukazał się w nich dawny towarzysz moich łowów, stary Piotr Sołohub, zapraszając do wnętrza. Z przyjemnością wkroczyłem do ciepłej izby, zrzucając ciężką wilczurę i rozprostowując zdrętwiałe nogi. Na palenisku dużego pieca, pełzały niebieskie płomyki dogasającego żaru, oświetlając wnętrze chaty czysto wybielonej, z dużym, niemalowanym stołem pod oknem, nad którem widniał w migotliwem świetle szereg obrazów świętych, z zatkniętemi za nie poświęconemi gałązkami wierzby, zdobnej w barwne, papierowe kwiaty. Pod ścianą dojrzałem szeroką ławę, na której bez namysłu wyciągnąłem się wygodnie, przykrywając futrem. Wiedziałem, że w pierwszych brzaskach zorzy wyruszymy na polowanie, więc nie należało tracić czasu, przeznaczonego na krótki wypoczynek. Drzemiąc już, słyszałem, że po ulokowaniu wyprzęgniętych koni w stodółce, wrócili do izby woźnica z Piotrem i pokładli się do snu na sąsiedniej ławie. — W chacie zapanowała cisza, kołysząca do drzemki zziębnięte i zmęczone ciała. Ogień na palenisku zgasł i tylko przez małe okienka zasnute iskrzącemi się kwiatami lodu, sączył się do wnętrza izby blady, zabłąkany promień księżyca. Z podwórka dolatywało trzaskanie pękających od mrozu belek w budynkach i żałosne lamenty wilczego stada, krążącego gdzieś w pobliżu. Na głos ten, śpiący pod ławą w smudze światła, gończy Zagraj, który wkradł się za swoim panem do chałupy, jeżył na grzbiecie czarną sierść i warczał zcicha. Ale wreszcie sen skleił mi powieki i straciłem świadomość tego, co się działo. Zbudziły mię dopiero czyjeś kroki w izbie i przyciszona rozmowa. — Otworzywszy z trudem oczy, ujrzałem ubranego do drogi fornala. Odjeżdżał już z powrotem do dworu. Tymczasem Piotr, siedząc na ławie, nabijał swoją kapiszonówkę, wysypując z butelki na dłoń czarne ziarenka prochu. — Na dworze parsknął koń, zaskrzypiały przeciągle sanie, poczem wszystko ucichło — woźnica pojechał.

Powstałem niechętnie, zbliżając się do okienka. Granatowa kopuła nieba, nabita srebrnemi gwoździami gwiazd, rozprzestrzeniała się nad okolicą, zalaną szafirowym mrokiem. Na wschodzie granat przechodził w jasny seledyn jutrzenki. Pozostawiwszy ciężką wilczurę, włożyłem krótki kożuszek i nabiłem strzelbę. Czas jakiś siedzieliśmy w chacie, przyglądając się roznieconemu w piecu ognisku, na którem w okopconym imbryku, gotowała się herbata. Po wypiciu jej, wyruszyliśmy na łowy.

ki", która odrazu zbiega ze swego obserwatorjum i podaje się pieszczotom.

Na drugi dzień po zapoznaniu się z „Rysią", dowiaduję się, że noc spędziła w łóżku jednego z jej młodocianych opiekunów i to wcale nie w nogach łóżka, ale z pyszczkiem przytulonym do twarzy przyjaciela na poduszce.

Leżę jeszcze w łóżku, gdy ktoś puka. — Wejść! — Włazi poważnie milczkiem do pokoju „R y s i a" i zbadawszy ubikację, uznaje, że moje legowisko jest jej dogodne, układa się w niem i donośnem mruczeniem kwituje pieszczoty. Zupełnie jak stara ulubienica kotka na kolanach jeszcze starszej dewotki. — Po chwili rozkłada się na moim kuferku. Przyszło mi na myśl, czy aby mieszkaniec puszczy nie pomyślał, że ma spakowane manatki, aby wrócić do swej puszczy. — Biedaczka jednak puszczy nigdy nie widziała. Młodociana moja siostrzenica odprowadziła ją do „Zoo" na łańcuszku poprzez całe miasto.

Poza tym cudem Zamościa — jak się wyraził Dyr. St. Miller, jest tamże zamiast starego lwa „Wara", para młodych lewków, z któremi można się bawić i które czasem chodzą po zwierzyńcu na wolności. — „Zoo" ma wreszcie oprócz starych oswojonych wilków, parę młodych, łagodnych jak psiaki (są na sprzedaż).

Niedźwiedzie miały w styczniu 1934 r. parę młodych. Jednego sprzedano. 11-to miesięczna samica zupełnie obłaskawiona, z którą można chodzić po ulicach na łańcuchu, jest na sprzedaż za 400 złotych. Za parę 11-to miesięcznych wilków, żąda zwierzyniec 50 zł. — Para puhaczy po 60 zł. Puhacze te nadają się i są używane do polowań na szkodniki pierzaste. Powyższych cen nie trzeba płacić gotówką, ale ewentualnie w porozumieniu z Zarządem Zwierzyńca w Zamościu ekwiwalentem karmy (doborowe siano, koniczyna, osypka, otręby, marchew, owies).

Wreszcie żmije, które w ciasnem pomieszczeniu nie chciały, prawie przez dwa lata, przyjmować pożywienia, najumiejętniej dobranego i zeschły na plasterki, puszczone w obszerną klatkę, zaczęły się odżywiać i doszły do normalnych rozmiarów i trybu życia w niewoli.



Autor z „Rysią" na rękach.

Szliśmy po twardej, zmarzniętej, skorupie śnieżnej, utrzymującej z łatwością ciężar człowieka, ku odległym błotom leśnym. Przed nami w wesołych podskokach, biegł czarny, rudo podpalany Zagraj, obwąchując starannie napotkane tropy zajęcze. Niebo wciąż jaśniało, rozlewając na śniegu lekkie, pastelowe odcienie barwy liljowej i seledynowej, żywiej występujące na odkrytych pagórkach. Daleka linja widnokręgu znaczyła się już rąbkiem płonącego złota.

Wchodziliśmy na małą haliznę błotną, otoczoną niby pierścieniem, młodym zagajnikiem brzozowym, kiedy nagle z pod nóg idącego na przedzie gajowego, wytrysła fontanna śniegu i czarny, o metalicznym połysku, cietrzew kogut oddalił się z głośnym łopotem. Zaraz, nieco dalej, jak wystrzelona raca, porwała się pstra cieciorka i uszła w las z przeciągłem gdakaniem. Zrozumiałem, że trafiliśmy na stado cietrzewi zagrzebanych na noc w śniegu. W istocie dookoła nas widniały wszędzie charakterystyczne jamki, wśród których wyróżniały się dwie, przed chwilą przez ptaki opuszczone. Przy nich stara, zlodowaciała powierzchnia przyprószona była niby pudrem — warstewką nieskazitelnej białości śniegu, wydobytego z głębin nazewnątrz, wyraźnie rzucającego się w oczy barwą i śladem uderzeń skrzydeł. Nie mając zamiaru polować dzisiaj na cietrzewie, szliśmy dalej, nie zważając na ustawiczny łopot zrywających się ptaków.

Dotarłszy o wschodzie słońca do wąskiej szyi błotnej, łączącej się z dużą połacią leśnego moczaru, porośniętego trzciną, łozą, karłowatą świerczyną i młodemi brzóskami, zatrzymałem się na znanym przesmyku. Piotr wziął na otok psa i udał się na przeciwległy skraj zaśnieżonego bagniska.

Długo trwała niezmącona cisza. Chłód poranku jął dotkliwie dawać mi się we znaki, to też przestępowałem z nogi na nogę, bojąc się innemi ruchami spłoszyć może już idącą ku stanowisku zwierzynę. Nagle gdzieś daleko, jak dźwięczny sygnał trąbki, zabrzmiał głos gonu, narazie niepewny, często przerywany, potem już rytmiczny, szybki, zaciekły... Lał się donośną kaskadą tonów w uroczystej ciszy leśnej, coraz się przybliżając w moją stronę. Wiedziałem, że stanowisko mam niezawodne. Każdy bielak ruszony w błocie musi tędy przechodzić. Tymczasem gon rwał się coraz częściej, następowały długie pauzy, aż wreszcie zamilkł zupełnie. Znając jednak dobrze fortele

Reszta zwierzyny i ptaków chowa się zdrowo i w dalszym ciągu daje dowód, jaką jest otoczona opieką. — Z przyjemnością rozmawia się z młodzieżą, opiekującą się „Zoo" pod kierunkiem P. Dyrektora, odczuwając, z jakiem zamiłowaniem oddaje się ona tym biednym więźniom.

P. Józef Kotowski, który „Rysię" wcielił do „Zoo" i jest jej specjalnym przyjacielem, pisze w XV-letniej broszurze „Zoo": „Ryśka chodzi z nami na spacer, wizytuje lekcje, a na nudniejszych zasypia, przeważnie na psychologji, widać nie jest filozofem. — Lubi się bawić z psem, czaić na wróble — kura zaś, gdy jej zastąpi drogę, przepadła, — ale zato wieczorem, po robocie, przychodzi do mnie na łóżko, poliże mnie po nosie na znak przymierza, pcha się pod kołdrę i śpi grzeczniutko do rana".



A. GROETSCHEL

Atak ranionej lochy

Dnia 27 lutego 1929 r., w czasie polowania na dziki w Nadleśnictwie państwowem w Rachiniu, powiat Dolina, po dwu miotach, mieliśmy na rozkładzie ładnego odyńca i dużą lochę.

W trzecim i ostatnim miocie wyszła na Panią R. P. w młodniku bukowym w bardzo głębokim śniegu locha, prowadząca pięć małych warchlaków. — Strzał dany z niedużej odległości, lecz wysłany w zwarte gąszcze, ranił ciężko zwierza. — Kula ekspansywna uderzyła lochę nisko w miękkie — wyrywając cały płat ciała, a obfita farba znaczyła trop uchodzącej lochy.

Posłany za postrzałkiem gajowy, znikł niebawem w gęstwinie bukowej — myśliwi zaś podążali sankami do odległego o kilka kilometrów pawilonu myśliwskiego.

Powracając konno wraz z chłopakiem stajennym do domu, zauważyłem zdala na poprzecznej linji gospodarczej, posłanego za postrzałkiem leśnego. — Podjechałem bliżej ku temuż i zeskoczywszy z konia zapytałem, gdzie jest postrzelony dzik. Gajowy wyjaśnił, że ciągle idzie za śladem postrzałka i wskazał mi ręką na pobliskie tropy.

Zdjąwszy przeto trzylufek z ramienia, ruszyłem z palcem na cynglu w siedmdziesięcioletni las świerkowo-jodłowy i podążałem w kierunku wskazanym mi przez leśnego.

Brnąc w głębokim śniegu, natrafiłem po kilkunastu krokach na całkiem świeży trop warchlaków, podążyłem przeto tym tropem i niebawem ujrzałem na niewielkiej polance grupkę małych dziczków zbitych w kupkę, z powodu bowiem bardzo obfitego śniegu, nie mogły wydostać się z głębokiej zaspy. — Przerażone widokiem zbli-

---

bielaka, przepełzającego często na brzuchu pod wykrotami i nawisłemi gałęziami świerków, nie przestawałem obserwować rzadszych luk. W istocie i tym razem doświadczenie mnie nie zawiodło. O dziesięć kroków przedemną drgnęły gwałtownie gałązki łozy, posypał się z nich śnieg i zaraz zauważyłem przekradającego się białego jak mleko zająca. Szybki strzał unieruchomił go na wieki.

Uważając polowanie za skończone, spokojnie złamałem strzelbę i załadowawszy nowy nabój, zarzuciłem ją na ramię. Wtem do uszu moich doleciał miarowy odgłos pędzącego w dużych susach jakiegoś zwierzęcia. Złapałem ponownie dubeltówkę, lecz zachrzęściły w oddali krzaki i wypadł z nich Zagraj, sadząc z podtulonym ogonem wprost przed siebie i nie zwracając najmniejszej uwagi na dobrze widoczny trop bielaka. Zachowanie się takie niezwykle karnego psa, bardzo mię zdziwiło. Gwiznąłem. Ogar osadził się w biegu, zatrzymał i dostrzegłszy mnie, zbliżył się galopem, kładąc się przedemną na śniegu.

Huknąłem na Piotra, który wkrótce mi odpowiedział i zaraz potem wyłoniła się z zarośli jego szara, ośnieżona postać. Spojrzał na dźwiganego przezemnie bielaka i rzekł tajemniczo, bym szedł za nim.

Zagłębiliśmy się w zawalone śniegiem gąszcze łozy, przedzierając się z trudnością przez splątane fantastycznie pręty, wystające z głębokich zasp. Po kilkunastu minutach uciążliwego marszu, wydostaliśmy się na małą polankę, przeciętą szeregiem jakichś tropów. Sołohub zatrzymał się i w milczeniu wskazał palcem śnieg. Pochyliłem się, badając tajemnicze, szyfrowane pismo zwierzęce.

Na twardej, zlodowaciałej skorupie, przyprószonej cienką warstewką świeżego śniegu, odcinał się wyraźnie, jak sznur opali, ślad bielaka, na którego tle widniały tropy Zagraja. Ale tuż obok, dostrzegłem odciski dużych, wyraźnie wytłoczonych w galopie łap pary innych zwierząt. Przetarłem oczy i spojrzałem na Piotra. Ten uśmiechnął się tajemniczo, mówiąc: Tak panoczku, wilki.

Dopiero teraz zrozumiałem dziwne zachowanie się Zagraja. Cofając się po wilczych tropach, zbadaliśmy dokładnie przebieg leśnego epizodu. W pobliskich gąszczach łozy, na suchszej kępie, leżały szczątki rozszarpanego jakiegoś wioskowego kundla. Szeroko rozwleczone widniały kawałki skóry, kłaki pstrej sierści, ogon i resztki kości, a liczne plamy krwi barwiły śnieg zryty i zdeptany łapami szarych rozbójników. O kilometr dalej, pod gałę-

żającego się człowieka, starały się wszelkiemi siłami wydostać ze śniegu, lecz, że to nie była rzecz łatwa, wspinały się po grzbietach swych towarzyszy, tworząc coraz bardziej zwartą, ruszającą się niespokojnie grupkę. — Od tego przerażonego towarzystwa dzieliła mnie odległość zaledwie sześciu kroków — gdy nagle zapadłem się powyżej pasa w niezauważone pod śniegiem wgłębienie terenu. — Zanim zdołałem wygramolić się z tej opresji — dziczki wydostały się z głębokiego śniegu i przebałowawszy z trudem ku linji, od której nadszedłem, znikły mi niebawem z oczu.

Wróciłem tedy na linję ku leśnemu i pytam go, gdzie jest postrzałek. Gajowy pokazuje mi ręką na lewo trop dziczy, silnie ubarwiony farbą, a wiodący ku podszytom jodłowym. — Podążam przeto za tym tropem w przekonaniu, że raniony dzik zaszył się głębiej w las. Zaledwie jednak zapuściłem się na jakie 40 kroków w głąb drzewostanu i wszedłem na niewielką halawę, zarosłą krajami zwartemi porostami, gdy nagle w grupie gęstej jedliny podniósł się łeb dziczy i ku mnie się skierował.

Zrozumiałem, że za chwilę nastąpi atak. Znajdowałem się wówczas mniej więcej na środku polanki w bardzo głębokim śniegu, stąd też o szybkiem uskoczeniu w bok nie było mowy.

Dwie kule ekspresowe w moim trzylufku napawały mnie nadzieją, że dam sobie radę. Szybko złożyłem się do strzału, lecz w tej chwili rozwarły się gąszcze jedlin i na moment okazała się samura, w całej swej postaci: małe oczka wlepione groźnie w mą osobę, szczeć na grzbiecie wzniesiona ostro w górę. — Nagle puszysty i głęboki śnieg rozsypał się w kurzawę, jakby wichrem porwany, locha pełnym biegiem ruszyła ku mnie.

Starałem się możliwie szybko wysłać kulę w pędzącego na mnie dzika. — Mimo wszelkie starania miałem jednak tylko kość czołową dzika na lufie. — Nie ufałem, by ołowiana kula ekspresowa, w ten sposób wysłana, mogła mego przeciwnika na miejscu rozciągnąć. — Chcąc koniecznie uchwycić, choć skosem bok dzika, przechyliłem się silnie ku prawej stronie. — Locha tymczasem dobiegła mię na sześć kroków. Wkońcu zdołałem wypalić na odległość trzech kroków. — Natychmiast po strzale chciałem uskoczyć w bok, lecz duży śnieg i stosunkowo ciężkie ubranie, związały moje ruchy; przesunąłem się przeto niezgrabnie na prawo, najwyżej na dwa kroki. — Locha przemknęła koło mnie, musnąwszy mnie lekko w lewą pachwinę. Wyprostowałem się szybko i rzuciłem strzał za nią, niestety, jak się okazało, przez omyłkę z lufy śrutowej. W moment przerzuciłem na kulę i posłałem trzeci strzał. Ze zdziwieniem spojrzałem na mój trzylufek. Wszystkie trzy lufy rozlazły się, jakby były ciastem sklejone. Jedna trzecia część szyny odleciała w niewiadomym kierunku, lewa zaś lufa ekspresowa głęboko rozdarta — sterczała silnie na bok odgięta. — Oto pochyliwszy się zbyt silnie ku ziemi w chwili ataku lochy, nabrałem mimowoli śniegu do lufy kulowej, czego rzecz prosta w napięciu nerwów, nie mogłem zauważyć. Ostatni strzał rozerwał trzylufek — niszcząc zupełnie spojenie luf i rozrywając głęboko lufę ekspresową.

Locha po moich strzałach wpadła na linję, rozpędzając czekające tam na mnie konie, poczem pomknęła do sąsiedniego gąszczu. Tam jednak padła martwa w odległości 90 kroków od miejsca pierwszego strzału.

Dokładne oględziny ubitej lochy wykazały, że strzał Pani R. P. rozdarł szeroko brzuch, powodując częściowy upływ wnętrzności. Moja kula ekspresowa z pierwszego strzału tkwiła w centrum komory, a bliskość strzału spowodowała oparzenie skóry w formie dużej pięciozłotówki, pozbawione zupełnie włosa.

W dniu tym mogłem złożyć szczere dziękczynienia św. Hubertowi — wszak zarówno atakująca locha — jakoteż fatalnie rozerwana strzelba, mogły narazić mnie na trwałe kalectwo.

---

ziami rozłożystego świerku, znajdowały się dwa legowiska.

Widocznie po nocnej uczcie, zaległa para wilcza w błocie, spędzając czas na błogiej drzemce. Nagle do uszu czujnych drapieżników doleciał bliski głos gonu. Przypomniawszy smak psiego mięsa — ruszyły wilki na łowy, ścigając Zagraja wyciągniętym galopem. Ale mądry ogar, dostrzegłszy niebezpieczeństwo, porzucił trop bielaka i pędził naprzełaj ku mnie. To właśnie było powodem, że gon ustał zupełnie. Lecz uchodzący zając wyprzedził psa i pierwszy zjawił się na przesmyku. Na mój strzał, jak wskazywały tropy, oba zbóje dały nieprawdopodobny skok w prawo i uszły w las, ku kniejom wiazyńskim. A były już tylko o pięćdziesiąt kroków odemnie.

Gdyby nie gąszcze łozy — niewątpliwie dostrzegłbym już wilki i wstrzymawszy się ze strzałem do bielaka, zrobił później piękny dublet. Bowiem Zagraj pędził właśnie szyją błotną wprost na moje stanowisko, pociągając i pogoń za sobą.

Z pogardą spojrzałem na przytroczonego do pasa zająca. Gdyby nie on, kto wie, czy nie dwa siwe cielska, o cudnym puszystym włosie i ciemnych, biegnących przez grzbiet, pręgach — leżałyby teraz na przesmyku, szczerząc groźne, pięknie połyskujące zęby, po którychby spływała rubinowa krew... Ale trudno.

Ruszyliśmy śladami uchodzących wilków ku dalszym ostępom. A z nad lasu wypłynęło tymczasem duże, ogniste słońce i wznosząc się ku górze — patrzało pogodnie uśmiechnięte na cudownie omszone drzewka i skrzący się miljardami iskier śnieg, po którym słały się blade, szafirowe cienie.



Dziesięciolecie Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Katowicach

Śląskie Towarzystwo Łowieckie w Katowicach, święciło w dniu 21 stycznia b. r., 10-letnią rocznicę swego powstania.

Na dzień 21 stycznia 1924 roku bowiem, garstka osób świadomych siły, jaką organizacja wprowadza w każdą dziedzinę ludzkich poczynań, zwołała zebranie, na którem założono Towarzystwo, nie mające się zajmować bezpośrednio myślistwem, ale mające na celu jego popieranie wszelkiemi środkami, jakie stoją do dyspozycji ideowemu towarzystwu łowieckiemu. Zebraniu temu przewodniczył śp. Palacz, który później był przez kilka lat prezesem Towarzystwa. Wkrótce uzyskano zatwierdzenie statutów i odtąd wszelkie zagadnienia z dziedziny łowieckiej przechodziły przez fachowe naświetlenie Towarzystwa, bez którego i jego delegatów wiedzy, nic się już wtedy nie działo na Śląsku w tej dziedzinie.

A był po temu czas najwyższy, gdyż śląski zwierzostan, który był przed wojną kwitnący, został w czasie jej i następnych powstań trwania — zdziesiątkowany. — Wybuchły bowiem epidemje, nie można było zwierzyny w ciężkie zimy dożywiać, a były też wypadki ekspedycji wojsk państw zaborczych dla zdobycia prowiantu, te zaś tępiły zwierzynę bez względu na czas ochrony i ciążę samic.

Że zwierzostan śląski podniósł się z tego upadku i zbliżył się już do stosunków przedwojennych, to to należy zawdzięczyć wprawdzie w pierwszej linji zrozumieniu rzeczy, przychylności i energji polskich władz administracyjnych, ale w znacznej mierze także Śląskiemu Towarzystwu Łowieckiemu.

Prezesem Towarzystwa jest dziś inż. Wacław Paczkowski, wiceprezesem nadleśniczy Cenkier, sekretarzem inż. dr. Jan Podgórny, który ten urząd piastuje od chwili zawiązania się Towarzystwa.

Towarzystwo, które w pierwszej połowie roku 1925-go liczyło zaledwie 25 członków, ma ich dziś 400-tu. To jest stan, którego naprawdę można Towarzystwu Śląskiemu pozazdrościć. Zważywszy bowiem, że obszar jego działalności terytorjalnej jest stosunkowo szczupły, można śmiało przypuszczać, że dziś wszyscy lub prawie wszyscy legalnie na Śląsku polujący, są w niem skupieni, podczas gdy w innych stronach Państwa, zaledwie znikomy odsetek myśliwych odczuwa potrzebę organizacji.

Bratniemu Towarzystwu ślemy serdeczne życzenia dalszego rozwoju i skutecznej pracy! A. S.



Upraszamy o sprawozdania z polowań!

Korespondencje

Słobódka Strusowska, 17 grudnia 1934.

Dnia 10 XII 1934 r., polowaliśmy w lasach Budzanowa, pow. Trembowla. Czarna stopa, 5° ciepła, silny wiatr. W 20 strzelb padło 94 zajęcy i 12 lisów. Królował p. Starosta Ludwik Schreiber. Zające, jak skonstatowano w jednym wziętym kotle — wszystkie w polu. — W ubiegłym sezonie w tejże kniei, dnia 15 stycznia 1934, przy dużym śniegu i mrozie, ubiliśmy w 15 strzelb — 306 zajęcy i 1 lisa. — Polowanie pod ogólnym nadzorem p. dyr. Franciszka Skóry, doskonale prowadził p. leśniczy Maksymiljan Wilk.

B. Z.

Perehińsko, 31 grudnia 1934.

W dniach 17 i 18 XII 1934 r., odbyło się polowanie z nagonką w Rudnikach koło Zabłotowa, u Państwa Bar. Moysów-Rosochackich. — Mimo możliwie nieodpowiedniej aury, bo zupełnego braku śniegu i odwilży, a zwłaszcza w drugim dniu tak silnej mgły, że szaraki w niektórych miotach, jak duchy zjawiały się tuż przed strzelcami, — w 14 strzelb padło do 200 zajęcy i lis. — W warunkach atmosferycznie odpowiedniejszych, mogła paść podwójna ilość — wobec doskonałego prowadzenia polowania pod kierunkiem samego Gospodarza, znanego w całej wschodniej połaci kraju hodowcy zwierzyny.

Rudniki, to zdaje się jedna z nielicznych u nas miejscowości, które mimo ogólnego kryzysu, sztandar prawdziwego łowiectwa tak wysoko trzymają, że knieje tamtejsze rozszerzają się jakościowo i ilościowo. Władysław Burzyński.

Sielec Bieńków, 2 stycznia 1935.

24 XII 1934, w Sielcu Bieńkowym, rewir Borek, w 5 strzelb, padło 25 zajęcy.

Dnia 28 i 29 grudnia 1934, odbyło się polowanie u pp. Inż. Bohdanów Zienkowiczów w Słobódce Strussowskiej pow. Trembowla. Pierwszego dnia w 13 strzelb i 80 nagonki, padło w 5 kotłach i 1 miocie pędz., 69 zajęcy i 1 lis. — Drugiego dnia wyłącznie w lesie, przy bardzo silnej okiści, na czarnej stopie, w 12 strzelb i w dwie nagonki, po 50 ludzi, padło 46 zajęcy i 3 lisy. Królem obu dni był niżej podpisany z 1 lisem i 17 zającami.

31 XII 1934, w Bożykowie u p. Dr. Bronisławowej Słomnickiej, polowaliśmy na dziki i lisy. Znaczny odyniec wyszedł na czysto chybiony, przez piszącego sprawozdanie, na kroków 75 i jego brata na kroków 25. — Do zajęcy strzelaliśmy w dwóch miotach. Lisy wyszły niestrzelone.

Tak w Słobódce jak i Bożykowie, stan zwierzyny podnosi się z roku na rok. Młodzi gospodarze-myśliwi, dbają o zwierzynę, czego dowodem, że na jednem stanowisku miałem na strzał 7 rogaczy, a wynik polowania mógł być o wiele lepszy, bo chybionych poszło około 80 zajęcy i 7 lisów. — Polowanie energicznie i szybko prowadził gospodarz.

Andrzej Ba-ski.

Dnia 4 i 5 stycznia b. r., polowano w 11 i 9 strzelb w Batiatyczach powiat Kamionecki u p. Antoniego Papary; wzięto każdego dnia po 6 olbrzymich kotłów. Na rozkładzie 288 zajęcy — zbyt mała ilość nagonki (około 90), ostry, suchy mróz, oraz łagodne bardzo dla zwierzyny, strzelanie paru myśliwych sprawiło, że rozkład nie doszedł do 400 sztuk. — Polowanie bardzo sprężyście prowadził gospodarz, którego wyłącznie zasługą jest doprowadzenie łowiska Batiatycz do dzisiejszego tak na tutejsze stosunki wybitnie dobrego stanu. — Królestwem podzielili się Jan Madeyski i Roman Bartmański — mając każdy po 50 sztuk na rozkładzie.

Darz Bór Batiatyczom! G. D.

W Nowosiółce (p. Lwów), rewirze lasów fundacji im. Abrahamowiczów, odbyło się polowanie dnia 12 XII ub. r., Rezultat: 6 lisów i 31 zajęcy. — Zajęcy o połowę mniej, niż w zeszłych latach.

Dr. Roman hr. Zaleski, kurator fund.

Rudna, w styczniu 1935.

PO ŁOWIECKIM KARNAWALE

(Sprawozdanie delegackie).

Rezultaty tegorocznych polowań w rzeszowskim powiecie są niebywale nierówne — a w niektórych rewirach zupełnie rewelacyjne.

Wszystko przemawiało za tem, że rezultaty tutejszych polowań będą prawie wszędzie jak najgorsze, bo stan zajęcy stanowczo się zmniejszył. — Od kilku lat szaleje kryzys, obywatele ubożeją, każdy się ogranicza, każdy coraz więcej oszczędza. Oczywiście w tych warunkach nie może być mowy o racjonalnem łowiectwie w całem tego słowa znaczeniu. Jest rzeczą notorycznie znaną, że prawdziwe, poważne łowiectwo kosztuje, bo wymaga hodowli i ochrony zwierzyny, a więc wymaga wkładów, a dzisiaj na te wkłady prawie nikt sobie pozwolić nie może. — Zubożenie myśliwych, to klęska zwierzostanów! Nadto strzela się u nas zwierzyny łownej stanowczo za dużo — szkodników stanowczo za mało. — Wreszcie dotknęła nas powódź, a w jej następstwie wystąpiła miejscami motylica u zajęcy.

Nie trzeba zapominać także, że niektóre nasze rewiry są wogóle trudne do zagospodarowania. W logicznej konsekwencji, zwierzostany powinny prawie wszędzie upadać — ilości ubijanej zwierzyny powinny maleć, słowem rezultaty odbytych polowań, powinny „na całym froncie" udowadniać niezbitą słuszność starej łowieckiej zasady: „że gdy się nie hoduje zwierzyny — to się jej nie ma, — oraz że gdzie się pilnuje i hoduje zwierzynę — to tam jest jej więcej".

Tymczasem obok rewirów gdzie skonstatowano znaczne a często i bardzo znaczne cofnięcie się zwierzostanów (jak np. rewiry Błażowa, Tyczyn, Staromieście, Staroniwa, Miłocin, Przybyszówka, Łąka, Jasionka, Wysoka, Głogów, Czudec, Bratkowicka knieja, Zarzecze, Siedliska) — mamy i szczęśliwe łowiska, gdzie zwierzyny a zwłaszcza zajęcy było w tym sezonie dużo, niekiedy nawet więcej niż w poprzednim sezonie i to pomimo klęski powodzi, a częstokroć i braku racjonalnej hodowli. Jest rzeczą jasną, że przedewszystkiem musiały się dobremi okazać u nas te łowiska, w których uprawnieni do polowania, nie mogąc skutkiem niszczącego nas kryzysu należytej zastosować hodowli zwierzyny — zastosowali przynajmniej jej namiastkę, to jest **ograniczyli u siebie polowania, zaniechali osławionych „deptaczków", tylko co drugi rok urządzali u siebie gremjalne polowania, nigdy nie urządzali „poprawek", polowań w tem samem łowisku podczas jednego sezonu, choć troszkę tępili szkodniki i choć troszkę rewirów pilnowali.** — Ale sprawiedliwość i bezstronność wymaga stwierdzenia, że nawet w niektórych rewirach nie bardzo szanowanych, gdzie rok po roku się poluje i to poluje nader energicznie, stan zajęcy nietylko się nie zmniejszył — ale przeciwnie się podniósł i to podniósł znacznie. — Krótko mówiąc, niepojęta łaska Świętego Huberta dla „skryzysowanych" myśliwych i niesamowita, fenomenalna odporność naszego poczciwego szaraka, który — podobnie zresztą jak i my — dużo w tych czasach wytrzymał, a wykorzystał w całej pełni naogół nienajgorsze warunki rozmnoży w roku 1934.

Kuropatw było u nas w ubiegłym sezonie naprawdę bez liku. Stan sarn w rewirach dobrze prowadzonych, się poprawił — stan bażantów niestety pogorszył. — Jeleni i dzików mamy u nas mało, lisów w tym sezonie znów więcej.

Do bardzo wielkich plusów łowieckich należy zaliczyć fakt zmniejszenia się ilości strzelb na gremjalnych polowaniach w tutejszym powiecie. Dawniej spotykane u nas „ekipy myśliwskie", składające się z trzydziestu a nawet i więcej strzelb, znikły w tym sezonie już prawie zupełnie.

Ogółem biorąc, wyniki polowań były u nas średnie — lecz dobry stosunek strzelb do ubitej zwierzyny.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nie będę nużył czytelników „Łowca" opisywaniem wszystkich polowań i polowaniek, jakie się u nas w ubiegłym sezonie odbyły, a wymienię rezultaty tylko tych kilku polowań, które ja uważam za najlepsze. — A więc:

1) Dwudniowe polowanie w kotły na dzierżawionych przez delegata Dr. Adama Midowicza terenach Świlcza i Zgłobień z pięknym rezultatem 300 sztuk, z czego przypada na Świlczę w dniu 16 stycznia b. r. 164 zajęcy w 23 strzelb, a na Zgłobień w dniu 17 stycznia b. r. — 135 zajęcy i 1 krogulec w 12 strzelb. Panu Dr. Midowiczowi należy się gorące powinszowanie za tak piękny rezultat. Zwłaszcza podniesienie się zwierzostanu w rewirze Zgłobień, jest naprawdę imponujące.

2) Dwudniowe polowanie w Rudnej u Stefana hr. Dąmbskiego — gdzie dnia 2 stycznia 1935, ubito w polach (kotły) w 8 strzelb 1 lisa, 2 koguty-bażanty i 141 zajęcy, a dnia 3 stycznia b. r. w lasach, w 12 strzelb — 5 lisów, 3 koguty-bażanty i 89 zajęcy — razem przez oba dni — 6 lisów, 5 kogutów-bażantów i 230 zajęcy. Polowanie prowadzone bez zarzutu przez Gospodarza i przez Nadleśniczego Königa. Podnieść należy precyzyjne obmyślenie wszystkich najdrobniejszych nawet szczegółów.

Polowaniu w kotły dodawały uroku barwne chorągiewki nagonki i podzielenie „pola" na cztery „kolory" — co przypominało nam dawne dobre czasy.

Rezultat ilościowo byłby na pewno lepszy — ale pierwszego dnia zadymka, a drugiego dnia duża okiść, utrudniała łowy. —

Nie mogę nie wspomnieć, że po polowaniu, podczas obiadu przemówił serdecznie do zebranych p. delegat Dr. Midowicz, nawiązując do pięknej tradycji Rudzieńskiego domu i Rudzieńskiej kniei.

3) Polowanie polne w Zwięczycy (pola i wikle), gdzie Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych osiągnęło dnia 31 grudnia 1934, rezultat: 1 lisa, 11 kogutów-bażantów, 104 zające i krogulca w 16 strzelb. — Rezultat niezaprzeczenie bardzo dobry — zwłaszcza jeżeli się zważy, że zeszłego roku, a więc w sezonie 1933/34, polowano tam trzy razy i na tych polowaniach ubito 28 kogutów-bażantów, 180 zajęcy, 1 kaczkę i 1 krzyka — oprócz 4 kur-bażancich, które przypadkowo utraciły życie. — Mimowoli nasuwa się myśl, ileby w Zwięczycy paść mogło, gdyby się przez pewien czas trochę mniej eksploatowało to łowisko.

4) Polowanie kociołkowe w dniu 19 stycznia 1935, na dzierżawionych przez Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych terenach w Kielanówce i Racławówce z bardzo ładnym rezultatem 113 zajęcy w 10 strzelb.

5) Polowanie u p. Joachima Jarochowskiego w Babicy dnia 5 stycznia 1935, z przepięknym rezultatem jak na nieduże łowisko: 1 lis, 3 koguty-bażanty i 102 zajęcy w 11 strzelb. — Polowano częścią w lesie, częścią w polach i wiklach.

Na każdym kroku znać tam rękę dobrego myśliwego-hodowcy.

6) Polowanie w kotły na terenach gminnych w Bratkowicach — gdzie panowie Emilewicz i Jurkowski, uzyskali w dniu 5 stycznia 1935, w 10 strzelb rezultat 101 zajęcy.

7) Polowanie kociołkowe Rzeszowskiego Towarzystwa Myśliwych w Niechobrzu dnia 12 stycznia 1935, z doskonałym wynikiem 80 zajęcy w 5 strzelb. (Zeszłego sezonu 53 zajęcy w 11 strzelb).

8) Zawsze miłe i świetnie prowadzone polowanie u delegata Jana Jędrzejowicza w Zaczerskiej kniei dnia 31 grudnia 1934 r. z rezultatem: 3 lisy, 64 zajęcy w 11 strzelb.

9) Polowanie kniejowe Strzyżów, na którem dnia 27 października 1934 r. padło w 12 strzelb: 1 dzik, 1 słonka, 1 jarząbek, 4 lisy, 14 kogutów-bażancich i 47 zajęcy. — Jest to rezultat bardzo piękny jak na trudne warunki hodowlane Strzyżowa. — Rezultat ten jest nagrodą żmudnej pracy p. Ignacego Konopki.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Oczywiście, że rezultaty powyższe nie mogą iść w porównanie do niezapomnianych rekordów z roku 1930/31, gdy w powiecie rzeszowskim u delegata Jana Jędrzejowicza ze Staromieścia, padło na jego terenach w dniach 15 i 16 grudnia 1930 r. w 12 strzelb: 1 lis i 863 zajęcy, gdy Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych osiągnęło w jeden dzień w Przybyszówce dnia 27 grudnia 1930 rezul-

tat 375 sztuk — a w sąsiednim powiecie Kolbuszowskim osiągnął w lasach Werynii Jerzy Tyszkiewicz w trzech dniach w 11 strzelb 1333 sztuki. — To był naprawdę „karnawał łowiecki". — Do tego nam teraz daleko, — ale chcę wierzyć, że mimo trudnych nadwyraz czasów, poprawa naszych zwierzostanów jest rzeczą możliwą, tylko trzeba stale **propagować prawdziwą kulturę łowiecką, zgromadzić wszystkich myśliwych pod sztandarem Świętego Huberta, solidarnie współdziałać dla rozwoju naszych łowisk i na chwałę polskiego łowiectwa.**

Stanisław Korwin-Milewski

Lwów, w styczniu 1935 r.

W dobrach hr. Stanisława Badeniego w powiecie radziechowskim odbyły się następujące polowania:

Dnia 17 listopada w Leszczynowie Rewir Chołojów w 8 strzelb, padło na czarnej stopie przy ładnej pogodzie 40 zajęcy i 5 lisów, do rogaczy nie strzelano. Zajęcy dużo, kilka lisów poszło niestrzelanych.

W Pukaczowie obok Radziechowa, odbyło się duże doroczne polowanie w dniach 27, 28 i 29 listopada 1934 r.

Dnia 26 listopada, fatalna pogoda, polowaliśmy w ulewnym deszczu, na mokrym, szybko tającym śniegu, okiść chlapała z drzew, zalewając broń i utrudniając wielce chodzenie nagonce po młodnikach. Zajęcy w lesie było bardzo mało, a i te nie wychodziły, nie słysząc nagonki i odbijając z pod nóg w tył lub na boki. — Stan sarn bardzo ładny, około 500 sztuk. Nagonki 120 ludzi, nagonka numerowana, gajowych 6, każdy gajowy miał 18 ludzi nagonki i 2 dziesiętników. 12 podwód pod nagonkę także numerowanych, po dziesięś ludzi na furmankę.

Strzelb w pierwszy dzień 13, polowaliśmy tylko do śniadania, padło 23 zajęcy, 1 rogacz, 3 lisy, w pięciu miotach na strzałów 57.

W drugi dzień 28, było 14 strzelb, pogoda, silny wiatr, 8° C powyżej zera, padło w 10 miotach 57 zajęcy, 7 lisów, 5 rogaczy — na strzałów 157. Odstrzał rogaczy ograniczony, mogło paść ich znacznie więcej. W sezonie letnim padło 5 rogaczy. Z 1.400 ha lasów Pukaczowa, opolowano tylko 900 hektarów. Projektowane polowanie w odpowiedniej porze zimowej nie przyszło do skutku, gdyż gospodarz dbały o zwierzostan, zostawił resztę na przyszły sezon, pomimo że zajęcy pokazało się w lesie przy mrozach i śniegach bardzo dużo, gdzie mając obfitą karmę i troskliwą opiekę doczekają szczęśliwie wiosny.

Trzeci dzień Józefów, dnia 29 listopada, remiza wśród pól o obszarze 240 morgów, 6 leśnych, małych miotów, 1 polny. Strzelb 8, nagonki 40 i 3 gajowych. Padło 17 zajęcy i 4 lisy na strzałów 61. Silny wiatr z przelotnemi deszczami. Razem padło 97 zajęcy. 14 lisów i 6 rogaczy na 275 strzałów. Prócz lisów podniesionych, widziano i strzelano jeszcze 8 lisów. — Polowanie prowadził energicznie p. leśniczy Bronisław Ditrich.

Dnia 16 stycznia 1935 r., odbyło się polowanie w Witkowie przy ładnej pogodzie i ponowie. W 8 strzelb padło w 11 miotach przy 30 nagonki i 3 gajowych — 16 zajęcy i 1 dzik. Sarn było mało widzianych, gdyż wyszły na zręby do sąsiedniego rewiru, co stwierdziłem rano przy tropieniu. To samo było z lisami, które ściągnęły się do Radwaniec, gdzie kładą konie dla dzików. Widziałem duże stado cietrzewi. Z powodu krótkiego dnia, kilka dobrych miotów zajęczych nie zdołaliśmy opolować.

Dnia 23 stycznia b. r., polowaliśmy we Woli Chołojowskiej w 7 strzelb, przy odwilży i silnym wietrze, który dał się we znaki. Zające przeczuwając odwilż, zostały przeważnie w polu, przez co mioty wyglądające bardzo obiecująco, poprzecinane licznemi ścieżkami zajęcy, nie dały spodziewanych rezultatów. Padło w 15 miotach 22 zajęcy i 2 rogacze. Conajmniej jeszcze raz tyle zajęcy poszło spudłowanych, a dużo sarn i zajęcy poszło na nieobsadzone flanki. Jest zato nadzieja, że w przyszłym sezonie będzie lepiej. Lisów mało i trafiają się parszywe dość często. Dzików nie było.

Cześć Św. Hubertowi! Mr. Stanisław Jaśkiewicz

W dniu 15 stycznia 1935 r., odbyło się doroczne polowanie na zające w Piadykach u Pp. Bogusławostwa Horodyńskich. Pruszący śnieg nie przyczynił się do celnych strzałów, to też drużyna myśliwska nie wykazała swych normalnych walorów, a że 4 dobre strzelby zawiodły, rozkład był poniżej zwykłego, z lat poprzednich, gdyż stan zajęcy dobry i uciekiniery na niedostatecznie obsadzone skrzydła oraz przez nagonkę — bardzo liczne.

Kierownictwo łowów ciche, sprawne i bez zarzutu. Straż i nagonka wzorowa. Fornalka bez hałasu zawsze pod ręką do podwożenia gości i naganiaczy. Stanowiska losowane. Karma dla zwierzyny we wszystkich miotach obficie rozdana i nie na pokaz, bo silnie zużyta. — 3 widziane lisy wykpiły się bez strzału. Ubito 85 zajęcy.

Z wielu stron południowo-wschodnich Kresów Małopolski dochodzą wiadomości o zarazie zajęczej na tle wątroby, natomiast lisy niebywale się rozmnożyły, a wilki stały się plagą na Pokuciu i połoninach, napadając nawet na ludzi. — W pierwszej połowie grudnia widziano rzekomo ciągnące ku południowi „żórawie".

W. G. S.

Dnia 10 i 12 stycznia b. r., polowano w Sielcu Bieńkowym pow. kamionecki u Pp. Kazimierzostwa Bartmańskich. — Dnia 10-go w 11 strzelb opolowano dworskie pola i rewir Ruda, przy niesprzyjającej pogodzie, na rozkładzie 81 zajęcy. Najwięcej ubił Roman Bartmański, 14. — Dnia 12 w 14 strzelb, opolowano rewir Sielec. Na rozkładzie 2 lisy i 104 zające. — Królestwo zdobył Bohdan Zienkowiecz — 16 zajęcy.

Stan zajęcy wskutek motylicy, niestety gorszy niż zeszłego roku. Stan sarn natomiast poprawił się wybitnie — dzięki wielkiej opiece gospodarza i umiarkowanego odstrzeliwania rogaczy w lecie. Polowania wzorowo i w bardzo szybkiem tempie, prowadził Andrzej Bartmański.

Dnia 23 i 24 polowano w dobrach Buseckich na zające. — Opolowano w 12 kotłach tylko pola. Na rozkładzie 287 zajęcy w 11 strzelb. Królestwo wystrzelał Seweryn bar. Brunicki — 47 zajęcy, drugi Stanisław Obertyński 42 zajęcy. — Stan zajęcy doskonały. Drugiego dnia silna zamieć mocno rezultat obniżyła; pozatem paru myśliwych strzelało zbyt pacyfistycznie dla szaraków. — Polowanie pod naczelnem kierownictwem pełnomocnika Andrzeja Skrzyńskiego, opracowane i zorganizowane wprost idealnie, prowadził pod każdym względem wzorowo inż. Humnicki.

K. G.



Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. WE LWOWIE

z dnia 13 grudnia 1934 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Sander i A. Mniszek, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, W. Garapich, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, inż. T. Sroczyński i dr. W. Ziembicki; zastępca St. Jaśkiewicz.

Nieobecność usprawiedliwili Z. Gronziewicz, dr. K. Obmiński, Z. Sander i J. Stanek.

Dr. W. Ziembicki i wiceprezes A. Sander zdali sprawę z poczynionych przez Komisję oszczędnościową zarządzeń w sprawie uregulowania dalszego wydawnictwa „Łowca", a wreszcie w sprawie zwołania konferencji delegatów Towarzystwa. Odnośne zarządzenie Komisji załatwiono.

W poczet członków przyjęto i mianowano delegatem w powiecie niskim Stanisława Komorowskiego z Bojanowa.

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. WE LWOWIE
w dniu 30 stycznia 1935.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, Dr. St. Gajewski, W. Garapich, Dr. J. Rosienkiewicz, St. Pieńczykowski, inż. T. Sroczyński i A. Ulm; zastępcy St. Jaśkiewicz i inż. Z. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Z. Gronziewicz, K. Obmiński, C. Perini, J. Stanek i Dr. W. Ziembicki.

Omówiono sprawy, związane ze zwołanem na dzień 2 lutego b. r. zebraniem Delegatów Towarzystwa.

Postanowiono odnieść się do P. Z. S. Ł. o przyśpieszenie załatwienia sprawy trójboju myśliwskiego.

Otrzymano pismo Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego z podziękowaniem za przesłane życzenia w dniu jego 10-letniej rocznicy.

Załatwiono cały szereg spraw administracyjnych.

W poczet członków zostali przyjęci: Andrzej Bartmański Sielec-Bieńków, Franciszek Bogucki we Lwowie, Bolesław Fedorowicz w Zbarażu, pułk. Karol Golachowski w Stryju, Stefan Haczewski we Lwowie, Dr. Leszek Jakliński we Lwowie, inż. Leonard Jakubowski w Stryju, Elegjusz Janicki w Stryju, inż. Mieczysław Janiczek we Lwowie, Koło Łowieckie przy 53 p. p. w Stryju, mjr. Zygmunt Kubisz w Stryju, Eugenjusz Książę Lubomirski w Chodorowie, Stefan Łobaczewski w Rudniku n/Sanem, Zygmunt Łobaczewski w Przędzelu, Stanisław Łopacki w Bielinach, inż. Witołd Roszkowski we Lwowie, Leon Książę Sapieha w Krasiczynie, Dr. Jan Woytkowski w Zarzeczu p. Nissko, Jakób Wyrębski w Przemyślu i Dyrekcja Dóbr Żywieckich.

Delegatami mianowano: Kazimierza Ansiona w powiecie przemyskim, Romana hr. Bielskiego w pow. tłumackim, Wilhelma Hortwiga w pow. rawskim, Kazimierza Jackowskiego w pow. gródeckim, Stanisława Łopackiego w pow. niskim i inż. Stanisława Niemińskiego w pow. rawskim.

SPRAWOZDANIE
Krakowskiego Oddziału Mał. Tow. Łow. z posiedzenia Wydziału w dniu 20 listopada 1934 r.

Obecni prezes Adam hr. Starzeński, wiceprezes dr. Adam Lardemer, członkowie Marjan Jagusiński, dr. Bolesław Korolewicz, Stanisław Morawetz, dr. Jan Robel, Stefan Różecki i dr. Józef Surzycki.

Usprawiedliwił nieobecność inż. Bolesław Szarek.

Z powodu niepłacenia wkładek członkowskich, zmuszony był Wydział unieważnić część mandatów delegackich, przyczem zlecono odnieść się jeszcze do niektórych z byłych delegatów z propozycją odnowienia stosunku członkowskiego i delegackiego.

Omówiono wstępnie projekt organizacji zawodów myśliwsko-strzeleckich w obrębie Województwa krakowskiego. Bliższe omówienie sprawy odroczono do następnego posiedzenia.

Przedmiotem żywego zainteresowania były także sprawy organizacyjne Oddziału w związku ze spodziewaną nowelizacją prawa łowieckiego.

Przy rozważaniu sprawy realizacji znaczniejszych naogół, zwłaszcza dawniejszych zaległości w opłatach członkowskich, wyłonił się też projekt rozwinięcia propagandy za pozyskaniem nowych i częściowem chociażby odzyskaniem dawnych członków, zwłaszcza przy obecnych udogodnionych warunkach, w zniżonych znacznie wkładkach członkowskich. Ostatecznie sprawa omówiona zostanie na najbliższem posiedzeniu.

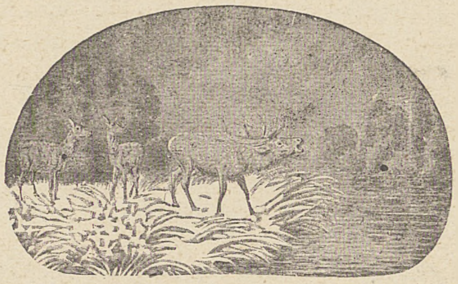
W nawiązaniu do powyższego sprawozdania zaznaczamy w dalszym ciągu, że poza innemi, w ostatnim czasie odniosło się do nas Województwo krakowskie w sprawie wydania opinji co do ewent. rozszerzenia czasów ochronnych dla zajęcy-szaraków, kuropatw i przepiórek na terenach powiatów powodzią dotkniętych. Załatwienie sprawy nastąpi po śpiesznem zebraniu dotyczącego materjału.

Przyjęci zostali w poczet członków Oddziału Tow.: dyr. inż. Romuald Wowkonowicz i inż. Karol Hülle w Mościcach, dr. Stanisław Chodorowski, inż. Stanisław Czaplicki, Zygmunt Jordan, Czesław Karwiński, Leopold Margulies, Franciszek Sauer w Krakowie i inż. Mieczysław Walter w Biskupicach.

Delegatem na powiat tarnowski mianowany został inż. Karol Hülle w Mościcach.

Wkońcu przypominamy opłatę bieżących i zaległych wkładek członkowskich przesłanemi czekami P. K. O. na konto **Oddziału Nr. 405.265.** Ze względu na kończący się rok rachunkowy, prosimy tem usilniej o wyrównanie wkładek, których wysokość zawsze na każdym czeku ołówkiem indywidualnie zaznaczamy. O ileby — a co zdarza się czasami — mylnie przez drukarnię dołączony został do „Łowca" czek z konta Nr. 145.839, to prosimy — celem uniknięcia nieporozumień — czek taki zniszczyć, a gotówkę dla naszego **Oddziału Krakowskiego** przekazywać zawsze tylko na konto P. K. O. **Nr. 405.265.**

Z Wydziału Oddz. Mał. T. Łow. w Krakowie.



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół posiedzenia Zarządu Związku z dnia 3 listopada 1934 r.

(Dokończenie).

Sprawę dalszego ulepszenia wydawnictwa „Łowiec Polski" referował p. red. Garczyński, oświadczając, iż w łączności z zapewnioną subwencją, w ostatnim kwartale roku ubiegłego ustalony został pewien poziom pisma. Zadaniem redakcji było, według p. red. Garczyńskiego, poziom ten utrzymać, a ponadto, jeśli okaże się to możliwem, zapewnić dalszy rozwój pisma. P. red. Garczyński uważa, że zadanie to zostało spełnione, przyczem nie zaszła potrzeba zużycia znacznej części subwencji. Licząc się z obecną sytuacją finansową Związku, p. red. Garczyński przedstawił następujące dezyderaty:

1. utrzymanie „Łowca Polskiego" na dotychczasowym poziomie,
2. **podwyższenie honorarjów autorskich,**
3. zreorganizowanie działu ogłoszeń.

P. Prezes gen. Sosnkowski stwierdził, że nie została wykonana uchwała Zarządu w tej sprawie. Subwencja „Łowca Polskiego" przeznaczona została przez Zarząd Związku w przekonaniu, że przez podniesienie wydawnictwa, zwiększy się liczba prenumeratorów i w ten sposób subwencja ta będzie inwestycją celową. Potrzebne jest programowe ujęcie układu pisma. Powinny w „Łowcu Polskim" znaleźć miejsce artykuły, oświetlające społeczną wartość łowiectwa i jego znaczenie dla ekonomiki kraju. Należy wprowadzić dział przeglądu prasy zagranicznej, dział cenniejszych tłumaczeń z literatury obcej. Beletrystyka łowiecka powinna objąć opisy rzeczywistych przeżyć i przygód myśliwskich, nie zaś mniej lub więcej udatne upoetyzowane fikcje. Ożywić pismo może uwzględnienie egzotyki łowieckiej. Należałoby szerzej rozwinąć dział konkursów, nie ograniczając się jedynie do dziedziny fotografji. Możnaby długo mnożyć tego rodzaju sugestje, praktyczniej będzie jednak dyskutować nad projektem redaktora, dlatego też p. Prezes gen. Sosnkowski uważa, iż należy, w przypomnieniu poprzedniej uchwały Zarządu, prosić raz jeszcze p. red. Garczyńskiego, by przedstawił swoje wnioski programowe.

P. dr. Lardemer stwierdza, że strona redakcyjna „Łowca Polskiego" uległa już znacznej poprawie, ale trzeba iść naprzód. — Konkursy, tłomaczenia prac z języków obcych, artykuły o społeczno-ekonomicznem znaczeniu łowiectwa są konieczne. Należy unikać natomiast publikowania artykułów polemicznych, które dla jednostek tylko są ciekawe i rzeczowe, nie budzą jednak zainteresowania szerszego ogółu myśliwych.

Zarząd polecił ponownie p. red. Garczyńskiemu opracowanie projektu zmian w kierunku podniesienia „Łowca Polskiego". Projekt ten rozpatrzony będzie przed 1 stycznia r. 1935, przy ustalaniu preliminarza budżetowego na rok przyszły.

Sprawę Komisji Propagandowej P. Z. S. Ł. zreferował przewodniczący Komisji, p. Skrzypek. Sprawozdanie za pierwszy miesiąc działalności Komisji zamiszczone zostało w Nr. 29 „Łowca Polskiego" z r. b. Komisja opracowała projekt regulaminu wewnętrznego i przedstawia go Zarządowi Związku do zatwierdzenia wraz z szeregiem wniosków.

Regulamin Komisji propagandowej zatwierdzony został w brzmieniu projektu. Regulamin ten dołączono do niniejszego protokołu.

Zarząd Związku uchwalił następujące wnioski Komisji propagandowej:

1. Związek sporządzi i będzie utrzymywał w stanie aktualności imienną kartotekę myśliwych z całej Polski.

2. Postanawia się ogłosić w „Łowcu Polskim" komunikat, podający do wiadomości ogółu, że każdy myśliwy może indywidualnie zostać członkiem popierającym Związku.

3. Wprowadza się legitymacje członkowskie dla myśliwych, zrzeszonych w Związku.

4. Wprowadza się znaczki członkowskie w postaci żetonu.

5. Postanawia się wystąpić do Ministerstwa Komunikacji:

a) o zarezerwowanie stałych przedziałów dla myśliwych w pociągach osobowych, w ciągu całego roku;

b) o dalszą zniżkę taryfy za przewóz koleją psów myśliwskich do wysokości opłaty za 20 kg bagażu, oraz o wprowadzenie tej taryfy na stałe, nie zaś na pewien okres w roku;

c) o wydanie bezpłatnego biletu kolejowego dla użytku Komisji propagandowej, względnie redakcji „Łowca Polskiego".

Wielkopolski Związek Myśliwych wystąpił z prośbą o prolongowanie na przeciąg kilku miesięcy zaległej składki na rzecz centrali. Prośbę tę poparł ks. Czartoryski, przedstawiając ciężkie położenie finansowe Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

W dyskusji zabierali głos pp.: Prezes gen. Sosnkowski, hr. Potocki, inż. Skulski, red. Garczyński, Ulm, gen. Skrzyński, Szperling, Gędziorowski, Skrzypek i Komierowski.

Zarząd Związku wypowiedział się jednomyślnie, iż zaległości w opłatach składki członkowskiej są niedopuszczalne. Dotychczasowe zaległości winny być bezwzględnie uregulowane w ten sposób, iż przy wpłacie skałdki bieżącej, zalegające Oddziały i Stowarzyszenia obowiązane są wpłacać nadto raty zaległości w wysokości rat składki bieżącej, aż do całkowitego pokrycia długów.

Zgodnie z wnioskiem p. dr. K. Wodzickiego, postanowiono wystąpić ponownie do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z propozycją utworzenia w wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego katedry łowiectwa.

Kącik kynologiczny

WSZECHŚWIATOWY KONGRES KYNOLOGICZNY I WYSTAWA PSÓW

W dniach od 22 do 25 kwietnia 1935 r., odbędzie się we Frankfurcie nad Menem trzeci Wszechświatowy kongres kynologiczny Miedzynarodowej Federacji kynologicznej. Przeprowadzenie tej imprezy powierzono Niemieckiemu Państwowemu Związkowi Kynologicznemu. Na porządku dziennym kongresu będą następujące sprawy:

a) Zasadnicze reguły dziedziczności i ich wyzyskanie przy hodowli psów rasowych;

b) Dziedziczność fizycznych właściwości. — Zewnętrzne kształty psa, jakość włosa, maści i t. p.

c) Dziedziczność duchowych właściwości — inteligencja, temperament, charakter, oko, ucho (z wyłączeniem węchu).

d) Dziedziczność zdolności węchowych i wynikające stąd cele hodowlane.

2. Wypożyczanie lub wynajmowanie suk niepokrytych dla celów hodowlanych.

Głównymi sprawozdawcami są:

ad 1. a) prof. Dr. Henseler — Monachjum,
„ b) prof. A. Pirocchi — Medjolan,
„ c) Dr. F. Méry — Paryż,
„ d) em. major Konrad Most — Berlin.
ad 2. O'Breen — Bruksela.

Obrady rozpoczną się 22 kwietnia o godzinie 9-tej, a skończą się w dniu 25 kwietnia o godzinie 18,30.

W połączeniu z konkursem odbędzie się Wszechświatowa Wystawa Psów wszystkich ras, w czasie od 26 do 28 kwietnia 1935.

—o—

Bliższych informacyj można zasięgnąć w biurze M. T. Ł.

TREŚĆ NUMERU 2:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32